

Księga wyjścia – 60

4 września 2020

Ballada literacka

Wreszcie jest. Udało się, moja nowa książka opuściła drukarnię i zadebiutuje już w tę sobotę na targach książki. Ale po kolei – jestem jeszcze pod wpływem emocji. Jeśli nie macie innych planów, to zapraszam w sobotę (05.09.2020) na targi książki – warszawska ADA przy ulicy Puławskiej 37. Będę tam ze wspomnianą publikacją w okolicy stoiska Spółdzielni Socjalnej „Faktoria”.



„Utwory zebrane, powrót z dna”, to zbiór felietonów, dzienników i opowiadań – inspirowanych prawdziwymi wydarzeniami, a także lekko zmienione wydanie poprzedniej książki „Z dna”. Teksty już gdzieś publikowane i te, których jeszcze nikt nie czytał – poza redakcją i korektą oczywiście. Nawet te publikowane mają tę wadę, że są bardzo ulotne, a ich żywot jest bardzo krótki. Zarówno te spisane na FB, jak i w prasie. Przelatują i znikają gdzieś w niepamięci. Fajnie jest wrócić do niektórych i jeśli układają się w całość, to połączyć w jedną wielką publikację. Wielką, bo łącznie wyszło

ponad trzysta stron.

Ułożonych w pewnego rodzaju tryptyk – upadek, życie na dnie i mozolna próba wygrzebania na powierzchnię.

Trudno skupić się na czymś innym w chwili, gdy dowiedziałem się, że po miesiącach starań i zabiegów udało się doprowadzić tę sprawę do końca. Ale tak, wreszcie książka opuściła maszyny drukarskie. Napiszę więc o całym procesie tworzenia i wydania książki. Jak to wygląda z mojej perspektywy i jakie procesy zachodzą w mojej głowie.

Wspominałem już kiedyś, że łatwiej napisać książkę, niż ją wydać. Przynajmniej komuś takiemu jak ja. Pisanie to praca twórcza, porywająca i pochłaniająca. Do tego stopnia, że czasami w szale pisania, zapominam o jedzeniu, picciu, porze dnia lub nocy. W ogóle nie mam poczucia upływającego czasu. Bywa, że siedzę godzinę lub dwie z nieodpalonym papierosem w ustach. Nawet jeśli siedzę przed monitorem kilkanaście godzin, to tego nie kontroluję. Zmęczenie przychodzi później. Dużo później, już po napisaniu, czytaniu i wielokrotnych przeróbkach.

Wydanie jest natomiast koszmarem. Wyrobiłem sobie już nawet pewien schemat stałych błędów, które zawsze popełniam. Chociaż nigdy się nie sprawdzają, to za każdym razem ślepo brnę w to samo bagno.

Najpierw planuję wydać samodzielnie, piszę do różnych drukarni, oni odsyłają mi oferty, z których niewiele rozumiem. Jakies tabelki, wyliczenia – VAT-y, brutto, cenę za ilość – tyle egzemplarzy – za tyle, ale jeśli zamówię więcej to będzie taniej – to znaczy będzie drożej ale wyjdzie taniej, bo za jedną mniej – ogarniacie? Ja pomału już tak, ale miałem kłopoty. Potem gramatura papieru, rodzaj okładki, ile kolorów, jaki format i objętość. Przyznacie, że to wymaga ogromnej determinacji i zacięcia. Zaczynam wtedy pomału głupieć. Najczęściej mam ochotę wyrzucić komputer, wykasować wszystko i

położyć się spać. Jestem jednak uparty, więc mimo ogromnej niechęci drążę dalej.

Gdy już rozszyfruje wszystko, przekalkuluję i zamierzam dogadywać się z wybraną drukarnią, która zaoferowała „najlepsze” warunki (według mnie, co wcale nie musi być prawdą) przypominam sobie, że muszę jeszcze zdobyć ISBN – to taki indywidualny numer identyfikacyjny, nadawany przez Bibliotekę Narodową, każdej wydanej w Polsce książce. Coś jak rejestracja w samochodzie.

Po wydrukowaniu należy również wysłać im natychmiast określoną ilość egzemplarzy, nie jestem pewien, ale zgodnie z przepisami chyba pięć. Potem przychodzi kolejna refleksja, że jeśli wydam sam, to żadna hurtownia ich ode mnie nie weźmie i pozostanie mi jedynie samodzielna sprzedaż przez Internet, ewentualnie kilka zaprzyjaźnionych księgarni, również internetowych.

Wtedy zwykle ktoś znajomy, ma znajomego, który zna kogoś, kto ma wydawnictwo.

I znowu cały proces od nowa, negocjacje, ustalania, okładka, format, papier, nakład (znowu zaczynam głupieć). Wreszcie wydawałoby się, że mamy wszystko omówione. Gdy oddycham z ulgą okazuje się, że jeszcze wydawnictwo daje to do własnej korekty – chociaż już były trzy – i odsyła mi do zaakceptowania. Koszmar. Zwłaszcza, gdy trafi się na korektora, który uwielbia interpunkcje „zgodne z zasadami”.

Mam do tego trochę inne podejście. Wszelkie kropki i przecinki są jedynie narzędziem w rękach autora, nie zaś obowiązującą i nienaruszalną regułą, zasadą, że przed każdym „a, że, który...” stawiamy przecinek. Nie, nie zawsze. Często przecinki i kropki określają zarówno sens, jak i ekspresję zdania.

Doskonałym przykładem, który często w takich przypadkach przytaczam jest historia o tym, jak przecinek uratował człowiekowi życie.

Ambasador i namiestnik carski – czyli praktycznie władca Polski – Nikołaj Repnin, prywatnie był kochankiem księżnej Izabelli Czartoryskiej. Romans ten akceptował mąż magnatki, tym bardziej, że Adam Kazimierz też święty nie był i liczył na łaskę carycy, a co za tym idzie królewską koronę. Niestety, Stanisław August był lepszy.

Wracając do tematu, gdy pewnego razu Repnin przyjechał do Puław odwiedzić księżną Izabellę, trochę się u niej zasiedziało. Ale ponieważ zarówno poczta jak i telegraf działały nienagannie, mógł sprawować swój urząd z prowincji. Pewnego dnia wśród przywiezionej przez kuriera korespondencji znalazła się, napisana przez skazanego na śmierć więźnia politycznego, prośba o ułaskawienie.

Repnin niewiele myśląc, podyktował depeszę o treści: „Ułaskawić nie wolno, rozstrzelać!”. Sprytna Izabella Czartoryska przekupiła telegrafistę, by jedynie w innym miejscu postawił przecinek. Po drobnej korekcie zdanie miało dokładnie to samo brzmienie, ale zupełnie inny sens i wyglądało tak: „Ułaskawić, nie wolno rozstrzelać!”. Tym sposobem uratowała biedakowi życie.

Nie wiem czy kiedykolwiek Repnin zorientował się w tej intrydze. Z całą pewnością nie wyciągnął konsekwencji wobec księżnej, tym bardziej, że w międzyczasie zaszła z nim w ciążę.

Owocem tego romansu był nikt inny, tylko sam Adam Jerzy Czartoryski, o czym świadczyło nieodparte podobieństwo do namiestnika, relacje współczesnych i ciągła nieobecność Adama Kazimierza, który był zajęty intrygami elekcyjnymi i związanymi z nimi erekcyjnymi, którymi to rywalizował ze Stanisławem Augustem o względy carycy. Stanisław okazał się najwyraźniej lepszy. A mimo to Adam Kazimierz do końca trzymał gardę i udawał, że dziecko – niezależnie kto je spłodził – jest jego, czym narażał się na publiczną śmieszność.

Tak na marginesie, działająca w zażyłej komitywie z ministrem kultury – Piotrem Glińskim, Fundacja Czartoryskich odwołuje się do tej gałęzi rodu, pochodzącej właśnie od Adama Jerzego. Śmiało więc można wysnuć tezę, że kupując „Dagę z łasiczką”, oraz przez inne dotacje minister zasilił kasę spadkobierców rosyjskiego arystokraty.

Jak widzicie przecinek ma nieprawdopodobną moc i ogromne znaczenie. Jest w stanie ocalić życie, a co dopiero wpłynąć na treść i sens książki. Właśnie dlatego po kolejnej korekcie, raz jeszcze musiałem znowu wszystko uważnie przeczytać. Potem drukarnia i czekanie na swoją kolej, ponieważ zależało mi bardzo na tych targach, czekałem naprawdę niecierpliwie. Na całe szczęście wszystko wyszło o czasie, choć mocno spóźnione – co wcale nie jest paradoksem. Podobnie jak to, że pasja, talent, wiedza, doświadczenie i umiejętność przeniesienia tego na papier, są obecnie najmniej ważne na współczesnym rynku wydawniczym.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info